

F 7486



ANTONI MALCZEWSKI.

WSPOMINEK

(ze znalezionej rękopisu).

**Byłem młody; prawie dziecko, szesnaście lat życia za-
ledwo liczyłem, lecz już serce żywo biło w piersi, rozwi-
jał się bystro umysł; potrafiłem jeśli nie sądzić, to czuć
i myśleć.**

Niedziw zatem, że przy podobnym usposobieniu du-
cha nie nęciły zabawy właściwe wiekowi, że porzucając
je, szukałem innych, moralnych; towarzystwa ludzi,
w których obcowaniu, cheiwy nauki i umysłowych roz-
rywek, mogłem je znaleźć. Ze wszystkich jednak towa-
rzystw, do których przypuszczony zostałem, najmilszém
było mi to, które znajdowałem u mego prywatnego
nauczyciela, korrepetytora jak nazywają w szkołach, Ka-
milla.

Ćwierć wieku prawie upłynęło od tego czasu; ró-
żnie los miotał! Niejednokrotnie kazał się schodzić z ludź-
mi wielkimi świata, z potęgami gieniuszu, bogactwa
lub znaczenia: niejednokrotnie i milsze sercu naznaczał
schadzki; żadne przecież równie nie ulgnęły w pamięci,

7486

większego na wyobraźnię nie wywierały wpływu, jak owe w domu mojego mentora.

Z uśmiechem, lecz nie bez słodkiego uczucia przypominam sobie obecnie ich dzieje. Kochanek na pierwsze zejście z kochanką, dworak na swe przedstawienie władzcy, nie oczekują z większą niecierpliwością, jak ja oczekiwałem na czwartek, dzień schadzki u Maurycego. Cóż dopiero gdy ten dzień nadszedł, gdy się znalazłem w miłym sobie towarzystwie! Ile uwagi, zajęcia! Jak łakomo chwytałem każde słowo obijające się o uszy! Jak chciwie mieściłem w głowie posłyszane zdania, robiłem z nich moje wnioski! Zajęcia i radości było na cały tydzień. Piękno epoki życia — młodość! Któż jak ona potrafi więcej ubarwiać najdrobniejsze z pozorów wypadki, większym przyozdabiać blaskiem nasze uczucia....

Pewnego dnia w środku kwietnia 1825 roku, więcej niż kiedy uradowany byłem. Mój mentor bowiem, zakończywszy zwykłą lekcję, wyrzekł:

— Nie zapomnij przyjść do mnie dzisiaj wieczorem; zbierze się kilka osób, parę ci jeszcze nieznaną: będzie i jeden z znakomitych naszych poetów.

Po podobnym oświadczeniu dzień końca nie miał dla mnie, oczekującego na wieczorną schadzkę; wszystko nudziło, wreszcie, nadeszła naznaczona godzina. Puściłem się w drogę, i o siódmej byłem w mieszkaniu Maurycego.

Pozwoli czytelnik, że je wkrótce opiszę; da ono ogólne wyobrażenie mieszkań owój bystrzej, znakomitiej, małodostatniej, lecz wielkiej nauką i słowem ówczesnej naszej młodzieży. A najprzód winienem wspomnieć, że mieściło się w jednym z tych domów poważnych, starożytnych, ponurych, a wielopiętrowych, w które wyla-

cznie obfituje nasze Stare Miasto Warszawy. Umieszczone na trzeciem pięttrze, wysoko zatém nad ulicą, blisko strychu, upalne latem, a zimne zimą; składało się z małej, wiecznie chłodnej i ciemnej sionki i dwóch izb: bawialnej, jak żartem nazywał mój mentor, i sypialnej. Piec wiecznie dymiący, szafka bez drzwiczek, kuferek bez wieka, kilka zydl i stołków, komoda olszowa czerwono malowana, para stolików, fajczarnia, i pięć czy sześć litografowanych portretów na zakopcanych od starości i tytoniowego dymu ścianach: oto umeblowanie i przystrojenie salonu. W sypialni równa nieobfitość sprzętów; łóżko wełnianą kołderką pokryte, nad niém obrazek Najświętszej Panny Częstochowskiej i portrety rodzicieli mieszkańca izby; para pistoletów, kańczug i dwa rapiry, wreszcie zwierciadło nadtłuczone, toaletka bez zamku, kominek wypełniony zdartym papierem i poważne festony pajęczyny — ot wszystko.

Żłem się jednak wyraził, nie było jeszcze wszystko; zapomniałem o jednym sprzęcie, a raczej sprzętach, panujących w obu komnatach — o książkach. Gdzieś się obrócił, gdzieś zwrócił oko, wszędzie je spostrzegałeś. Mój mentor oszczędny w innych wydatkach, skąpiący sobie upornie przyjemności życia, wygody mieszkania, nie raz nawet pożywienia, rozrzutnym był na książki; wszystkie dochody jakie miał, pensją od rodziców, zysk lekcyj, na nie obracał. Znajdowały się zatém w wielkiej liczbie: polskie, francuzkie, niemieckie, łacińskie; arcydzieła obecnego i ubiegłych stuleci; ogromne in folio i stereotypy, broszury i ozdobne wydania. Wszystkie zaś nie dla kaprysu tylko zgromadzone; na każdej znak czytania i odczytywania właściciela, porobione zakładki, uwagi, pozakreślone co najważniejsze miejsca: wielu treść, zalety

i wady skróśłone na kilku białych kartkach przy oprawie umyślnie włożonych. Swojskie dzieła szczególnie były przeglądane.

Niechaj przecież nie sądzi czytelnik po opisie, jaki dałem mieszkania, o towarzystwie zbierającym się u mojego mentora. Świetnych wprawdzie tytułów, wysokich godności, historycznych nazwisk, nie napotkałeś między jego członkami; lecz za to bez wyjątku, z innemi bowiem nie żył, byli to ludzie znakomitego usposobienia naukowego, doświadczonej prawości, a co najwięcej, odznaczająca się uniwersytecka młodzież. Bystre dowcipy, trafni literaccy sędziowie i znawcy, ludzie, którym braknęło tylko czasu i sposobności, aby odznaczyć się potęgą geniuszu lub wysokim talentem zabłysnąć, zająć w społeczności odpowiednie miejsce naukowemu usposobieniu, energii i bystremu polotowi ducha przynależne.

Zgromadzenie przedewszystkiém tego czwartku, które w niniejszém mojem wspomnieniu opisać chciałem, pragnę liczne; poufniejsi przyjaciele mojego mentora znajdowali się wszyscy. Ich rozmowa, jak zwykle bystrzej a różnorodnych opinij młodzieży, była zajmująca i żywa; sypały się chaotycznie dowcipy, błyszczał polot młodej wyobraźni i pojęć, nieraz i pełne gruntownej rozwagi i świetnego względu zdanie zabrzmiało: zdanie, które za aforyzm, gdyby umieszczone zostało w jakim uczoneń dziele, światby przyjął. Izba napelniła się tumanem tytuniowego dymu, który hojnie to z swoich fajek, to z gospodarskich stambulek, wypuszczała młodzież: gdy wreszcie rozmowa skakająca z przedmiotu na przedmiot, zaczęła powszechnie wówczas rozbiieraną, rozważaną, walczoną, lecz nigdy całkowicie nierozstrzygniętą kwestyą — klassycyzmu i romantyzmu.

Żywotna, jak wspomniałem, byłato kwestya w owych czasach; niedziw zatem, że żywo zajęła wszystkich. Podzieliły się zaś zdania, szczególniej, gdy dwóch zapasników krytycznych stanęło przeciw sobie: Salezy D. i Michał Gr.; pierwszy poplecznik odwiecznej, drugi nowej szkoły.

Gwar się wzmagał, sprzeczka wzrastała w zapale. Pan Salezy z uśmiechem, z ukłonami, z układną miną, nazywał Szyllera niedorzecznym, Szekspira rubasznym, Göthego i jego naszych naśladowców marzycielami; cytował boskie, jak nazywał, utwory Woltera, Laharpa, Krasińskiego i Naruszewicza. Michał Gr. nie szczędził ze swjej strony epitetów i porównań: literaturę klassyczną zwał szlaŃmycową, przedrzeźniał i karykaturował Oddysseę, Iliadę i Enejdę w ich przekładzie, co o zapamiętały gniew przywodziło syna tłumacza; wyśmiewał Alexandryny i poezyą bez natchnienia francuzkich i naszych Stanisławowskich poetów; gdy mój mentor, który sam jeden dotąd w sprzeczce nie brał udziału, przemówił owym poważnym, dźwięcznym a donośnym, który taki wpływ na słuchaczy wywierał, zwykłym sobie głosem:

— Moi panowie! przebaczcie, że na chwilę przerwę waszą rozmowę. Pozwolicie mi przeczytać parę ustępów z dziełka, które właśnie w tych dniach podpadło mi pod rękę.

— I owszem! — wyrzekł ten i ów — lecz czy to będzie proza czy wiérse?

— Poezya.

— A tytuł i przez kogo?

— Powiem po odczytaniu.

— Lecz czy to rękopism, czy książka? — wtracił Salezy.

— Książka, przed trzema jeśli się nie mylę miesiącami wydrukowana.

Krytyk wstrząsnął głową, jakby chciał rzec: muszę więc znać. Na głos zaś zrobił uwagę:

— A jakiej szkoły?

— Osądzisz sam, posłuchawszy.

I wzięwszy do ręki leżącą na stole, niepozornej postaci, dość cienką książeczkę, zaczął czytać:

I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny,

I świata jadłem gorzkie, zatrute kołaczki;

To mi ciężko na sercu i jak dziecko płacze.

A kiedy się rozśmieję, to jak za pokutę,

A kiedy będę śpiewał, to na smutną nutę:

Bo w mojej zwiędłej twarzy zamieszkała bladeść,

Bo w mej zdziczałej duszy wypleniono radość,

Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy.

To czego chcesz pachole? — Uciec do rozpacz.

I znowu:

Przy nim młoda niewiasta nad księgą żywota,

Jak trwożna gołębicą, pod jasności wrota

Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi,

Szukała swego gniazda daleko od ziemi.

A że nad przepych świata i blasków pozory,

Widniejsze pióra białe zniżonej pokory,

I drży nie którą serce do nieba związane:

To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę.

I wznosząc w górę oczy, z tym tkliwym wyrazem,

W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,

Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu

Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu;

I wznosząc w górę oczy, doznała, jak lubo,

Rozbłakaną w swym żalu swego szczęścia zgubą,

Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłodziła,

Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła!

Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie,

Zniknąć — na zawsze zniknąć pod śmierci objęcie!

A koby widział wtedy jej twarz promienistą,

I smutnego miecznika duszę przejrzał czystą,

Te lipy rosochate, starodawne stroje,

Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;

A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
 Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie,
 Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
 Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
 Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
 Usiadłby zamysłony z hebrajską rodziną:
 I w spółnictwie niedoli czując trwogę świętą,
 Poznał też samą rękę, wieczną, niepojętą,
 Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka;
 Też same zawsze troski wygnańca, człowieka,
 Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
 I tylko wtenczas błogo, gdy westchnie do nieba!

— Toż Marya Malczewskiego! — przerywając czytanie
 wykrzyknął ten i ów — poznałem od razu. Michał Gr.
 dodał:

— Lecz to piękne, szczytne, to prawdziwe uczucie!

— Nie znałeś tedy? — zagadnął mój mentor.

— Przyznam ci się dotąd nie. Dał wprawdzie Glücks-
 berg egzemplarz, ale tyle się boję dzisiejszych poetów,
 że nie zaglądałem.

— I dobrześ pan zrobił — wtrącił Salezy — nie uchy-
 bając p. Kamillowi inne mam jak on zdanie o poemacie;
 nieszczęściem bowiem musiałem go czytać.... Napisałem
 nawet recenzją, umieszczę niezadługo w Bibliotece.

— I cóż masz przeciw? — pytał mój mentor.

— Co? — odparł p. Salezy, dydaktyczną przybrał powa-
 gę — z jakiegobądź stanowiska chcesz, abym rozpatrywał,
 wszędzie uchyby, brak dobrego gustu, niepojęcie zasad pra-
 wdziwej piękności, usterki przeciw ogłądzie i grammatyce.

Sprzeczka, która na chwilę przerwała czytanie, zawią-
 zała się znowu, i znowu zdania podzieliły się. Z podzi-
 wieniem przecież uważałem, że większość oświadczyła
 się przeciw poematowi. Według niej, całość była źle
 pomyślana, szczegóły nie obrobione, charaktery nie roz-
 winięte, lub opacznie skręślone. Ten np. znajdował

Wacława poematu niezbyt zakochanym, ów Miecznika nazbyt gminnym; owemu nie mogło się pomieścić w głowie, dlaczego autor w usta polskich masek kładzie barkarolę wenecką; tamtego skrupulata w narodowości raził szpetny charakter Wojewody magnata. Pan Salezy ukoronował krytykę według swego rozumienia, szczegółowym rozbiorem kilku ustępów. Pojąć np. nie mógł następnych:

Tylko się lampa szczęścia w jój oczach paliła
I zgasła i swym dymem całą twarz zaćmiła.

— Jak się może lampa w czyich oczach palić? — dowcipkował — któż kiedy słyszał co podobnego? Gdzie tu niezbędna możliwość? gdzie rozsądek porównania? Co znaczy — ciągnął dalej — i ta figura:

Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy.

— Według autora tedy, wicher śpiewa. Śliczny śpiewak! Zefirek szemrał, Boreasz syczał, według dotychczasowych prawideł. Poeta wszystkim nakazuje śpiewać; nie zazdroszcze muzyki. Potém Wacław w wietrze kąpie oczy.... Nie jestżeto, coby kto rzekł: że je kąpie w drzewie, trawie, mące lub t. p... I to ma być poezya, i to ma być talent? Boże zachowaj od podobnych naszą literaturę!..

Na ten sposób analizował jeszcze kilka ustępów. Koniec końcem tak zakończył, zwracając się do mego mentora:

— Nie przeczę, aby twój autor nie był bez jakiegś zdatności; rymuje dość łatwo i dość szczęśliwie, ale nazywać go gwiazdą literatury, przyznawać gieniusz, to nazbyt wiele. Przecież sądzę, co i w mojej napisałem recenzji, że jeśli zechce pracować, pozna z gruntu litera-

ture francuzką, przejmie się Laharpem, co zaś nade wszystko, jeśli pozna duch naszych salonów, wejdzie w ich żądania i wyobrażenia, może się z czasem wyrobić.

W miejsce odpowiedzi, Maurycy, który kilkakrotnie poprzednio występował z obroną nieszczęśliwego wie-szcza, lecz ogłuszony krzykiem krytyków, umilkł, lekko ramionami wzruszył. Salezy pytał:

— Znasze go?

— Poznałem kilka dni temu.

— Jakież człowiek? dobrze wychowany?

— Był oficerem w wojsku, podróżował wiele. Ale teraz....

— Ach teraz! cóż?

Maurycy spojrział na zegarek.

— Dziewiąta dochodzi, osądzisz go sam, ma bowiem przyjść.

Ledwie domówił tych słów, drzwi się otworzyły i wszedł zamówiony. Ucichł nagle gwar rozmowy, wszystkie oczy ciekawie zwróciły się ku poecie; moje przedewszystkiém. Mimo bowiem sarkastycznych uwag pana Salezego, mimo ostrych spostrzeżeń i surowego sądu większości, odcytane przez p. Kamilla wiersze, niewysłowny wpływ na umysł wywarły; byłato dla mnie czarująca muzyka, jakiś niebiański urok przedzierzgniony w wyrazy. Dziecko, pojmowałem wielkość poety, czułem ją sercem nie głową, pojmowałem mniej rozumem, a więcej wyobraźnią. Rzeczywiście, któryż wiek nad młodzięńczy, sposobniejszy do zrozumienia i ocenienia prawdziwej poetyckiej piękności!...

Niedziw zatem, że gdy rymy taki urok na mnie wywarły, chciałem poznać ich twórcę. Byłto człowiek lat 33, dobrego wzrostu, przystojny; nietrudno mi było

przecież odgadnąć, że pod maską światowego poloru i wesołości, ciężkie strapienie w duszy jego zamieszkuje. Czoło przerzynało kilka głębokich marszczek, żywe, jasno niebieskie oko przyćmione, zalane było niejako łzami; żółta bladość rozlewała się na twarzy, uśmiech cierpienia na bladych ustach wił; owszem, snadno można było pojąć, że i fizyczny układ dolegał: z piersi bowiem od czasu do czasu wydobywał się suchy kaszel, głos był cichy i przerywany, a dłoń machinalnie kierowała się ku lewemu bokowi, niby chcąc tłoczeniem go poskromić cierpienie, które się tam zawiązało.

A nietylko na postawę autora zważałem. Pamięć, ta wierna towarzyszka młodzińskich lat, zachowała wierne i jego ubiór: skromny on był, biedny nawet. Poeta udowadniał nim znane odwieczne prawidło niedostatku autorskiego stanu. Składał się zaś z węgierki znacznie znoszonej, zapiętej do szyi; może dla ukrycia grubiej bielizny. Kapelusz trzymany w ręku spłowiały był i wytarty, buty nie pochodziły z warsztatu pierwszego szewca. Przy podobnym ubóstwie ubioru, układ poety, a jak zwano wówczas manieri, tém żywiej wybijały. Bezzartowe one były; zwiastowały człowieka dobrego wychowania, dla którego światowy układ nie był obcym; który, choć dzisiaj los ciężkiem brzemieniem gniótl, lepsze czasy miał: dostatku ślizgania się po woskowanych posadzkach salonów, lata szczęścia, blasku, nadziei i użytku.

Nie wiem, czy poeta odpowiednio mojemu wrażeniu wywarł na przytomną młodzież. Zajęty własnymi spostrzeżeniami nie zważałem na to; wiem tylko, że Kamil uprzejmie go przyjął, i słyszałem jak p. Salezy zwraca-

jąc się do obok siebie stojącego Zenona N., poszepnął mu w ucho:

— Ależto jakiś biédak! Niedostatek jego poezyj maluje się w ubiorze i naodwrot.

Śmiał się z dowcipu, rzadko on mu służył; tém łakniej przychodzący witał. Śmiał się zaś sam, bo Zenon spokojnie odparł:

— I Homer był żebrakiem.

— Lecz Wolter milionowym panem! Minęły te czasy, gdy gieniusze umierały z głodu; nadeszły lata ich władzy.

— Nie u nas przynajmniej — poszepnął, wmieszawszy się do rozmowy Edward O.

Szydersko uśmiechnął się Salezy.

— Mylisz się panie Edwardzie! Bezstronnie rozważając musisz przyznać, że prawdziwy talent tak u nas jak i gdzieindziej pomoc i opiekę znajduje. Tak Julian N. szczeni się powszechnym szacunkiem, Gierard W. otrzymał dobrą posadę, toż samo autor *Ducha Czasu* Dominik L. pan nawet z łaski Ordynata.

Zachmurzył czoło poeta; nie o jałmużnę mu zapewne szło, inné nagrody dla talentu pragnął, inné wdzięczności za swe prace wymagał; lecz pojął, że go krytyk nie zrozumie, dlatego milczeniem uwagę zbył i w inną obrócił się stronę.

Salezy ręce zatarł. Zwykły to jego był giest, gdy kogo, jak nazywał, dociał, to jest w najświętszych uczuciach obraził: i szeptał coś do siebie, może układał znane *impromptu*, z którym trzy dni później wystąpił:

„Ordyniec z Odyńcem z Ordynata łaski,
„Patrzą się na Ordynek przez Ordunek Saski.”

Rozmowa przerwana wejściem poety, zawiązała się znowu; nie była już przecie z równą jak poprzednio żywością wiedziona. Uważałem jednak, że choć nie wprost, to nawiasem ten i ów, a pan Salezy pierwszy, biednemu autorowi Maryi cierpkie uwagi i krwawiące autorską dumę, przynosił uwagi. Wspominał mi przecie w parę dni Kamil, że krytyk udobruchał się wreszcie, a dowiedziawszy się, że biedny poeta zna język francuzki, ofiarował mu kolaboratorstwo w tłumaczeniu modnych w owe lata Walterskotowskich romansów; owszem, swoje wspaniałomyślność tak dalece posunął, że pracy darmo nie żądał, lecz dawał za arkusz druku pięć złotych.

Co się mnie tyczy, już nazajutrz pobiegłem do księgarni, aby kupić tyle okrzyczaną i wyszydzoną Maryą. Gdym ję żądał, subjekt handlu, znajomy nieco, zapytał:

— Dla kogożto pan kupujesz?

— Dla siebie.

— A znasz pan dzieło?

— Z kilku ustępów tylko.

Subjekt mądrą minę nastroił.

— Poradziłbym przecie panu na inną książkę obrócić pieniądze. Mamy właśnie kilka nowych dzieł: Władysława Łokietka, Rzeki Jaksy Marcinkowskiego, Chwile wesołości i t. p.

— Czemuż mi pan odradzasz kupienie Maryi?

Uśmiechnął się mądrze kupczyk.

— Ach! bo ję nikt nie kupuje, bo powiedziawszy między nami, lichota grosza nie warta. Glücksbergowi ofiarowano aby drukował, lecz nie chciał; autor na siebie musiał to wziąć, straci kilkaset złotych nakładu.

Innego przecie byłem zdania, i książka znalazła się w mym ręku.



Nie zapomnę nigdy zachwycenia, jakie jęj czytanie na mnie sprawiło. Po razto piérwszy w życiu uczulem rzeczywistą wartość poezyi, rozumiałem wpływ na umysły gieniuszu, potrafiłem go odróżnić od tych błyskotek wyobraźni i słów, któremi literatura nasza zarzuconą została. Nie mogłem się zaś nasycić tą książką, odczytywałem cały wieczór; owszem nazajutrz, że było jakieś święto, czas od szkolnych nauk wolny, chcąc wyuczyć się napamięć kilku silniej wstrząsających serce i duszę ustępów, aby je zacytować kolegom i jednej z kuzynek lubiących literaturę, poszedłem do Saskiego ogrodu.

Nie wiem ile czasu spędziłem pod cieniem rozłożystego kasztanu, napawając się urokiem czarodziejskiej poezyi, której tony okiem chwythane w książce, zabiegały w głębie méj duszy, krwawiły lub weseliły serce. Już całą karnawałową pioszeczkę umiałem napamięć, gdy mą zadumę i naukę przerwało nagłe pytanie:

— I czémże się tak pan zajmujesz? jakie dzieło tak skwapliwie czytasz?

Wzdrygnąłem się podobnie zagadniony, powstałem z uszanowaniem z ławki: przedemną stał twórca ulubionego mi poematu — Malczewski.

Poznałem go od razu. Taż sama przyjemność postawy, ten sam niedostatek w ubiorze; lecz oko więcej błyszczące niż wczoraj, i większa bladość na twarzy. Światło dzienne jaśniej dawało je widzieć.

W miejsce odpowiedzi, podałem autorowi książkę.

— To moja Marya — wyrzekł dźwiękiem głosu, w którym nie wiem co przeważało: smutek, czy duma autorska.

— Nie mogę się jęj dosyć nacytać. Jakże piękna! wyrzekłem.

— A więc się panu podoba?

— O! więcej niż pan możesz wyobrazić sobie, niż sam zdołam wypowiedzieć! Toż to gieniuszu blask, urok.

Rozgorzało nietajoną radością piękne jego oko, blask wewnętrznej dumy rozpostarł się na wzniosłym i szerokim czole. Dziękując za pochwałę, lekko mą rękę uściśnął. Dodałem:

— A wszyscy powinni uwielbiać. Pojąć bowiem nie mogę, jak może kto ganić; będzie to zaprzeczać blasku słońcu, błękit niebiosom.

Odczarowała niejako autora ta niewinna uwaga; pochmurzyło się czoło, zaćmiło oko.

— Wszyscy powinni chwalić—smutnie powtórzył— wszyscy! Miałem niegdyś tę miłą nadzieję, a jednak.....

Ścisnął dłonie w kłębek, zaciął usta. Zwykły to był jego giest, jak się przekonałem później, gdy żywsze jakie uczucie przejmowało. I dodał urwistym, bolesnym, pierśowym głosem:

— O tak! czemu tać! Wierzyłem w sławę, wierzyłem w sprawiedliwość ludzi—uderzył po okładce książki—składając te rymy, składałem je sercem, pisałem duszą, wlewałem w nie część mojej istoty, mój byt, marzenia, nadzieje; i marzyłem i spodziewałem się jeźli nie danków jako gieniuszowi, to przynajmniej tej lekkiej pochwały, jaka przynależy dobrym chęciom i szczypcie istotnego talentu. A cóż znalazłem?—gorycz, wyszyd, przekąsy. Byłeś pan wczoraj u Kamilla, wiesz tedy, musiałeś uważać, jak takowano moje Maryą.

Zarumieniłem się trochę i odpowiedziałem:

— Sądzę przecież, że w pańskiej przytomności.....

— Ach! chcesz mówić — przerwał — nie ganiono wręcz, nie ćwiertowano myśl po myśli, wiérsz po wiérszu, wyraz po wyrazie; lecz nim przyszedłem, wyznaj...

Milczałem zakłopotany. On dalej:

— Ależ myślę się, i w mojej przytomności ileż było obelg, ile ciężkich policzków! Mierność i zawiść wybor- nie umieją kierować swe pociski; każdy łajał, każdy wysmiewał: urągano najpiękniejszym stronnicom, obluz- giwano błotem najpiękniejsze obrazy i myśli, przeko- marzano autorskiej dumie, krzyczano w duszę obelgi, których odłamek, jedną już częśćkę, człowiek serca i krwi, krwią powinien kazać opłacić. A trzeba było mil- cząć, cierpliwie urągania znosić, bo honor autora nie na- leży do niego, bo lada ktoś, kto umie składać wyrazy, komu się zdaje, że myśli gdy marzy, że mówi, gdy szcze- biocze, że umie, gdy ledwo nauka rozkwita w pustym czerepie; każdy może-go sądzić, poniewierać, potwarzać, deptać. Powtarzam zaś, trzeba było milczeć, czując się nie- sprawiedliwie nagabany, sprawiedliwość sądów przy- znawać; trzeba było pełzać na kolanach przed sędziami, aby nie ich słuszny wyrok, lecz miłosierdzie pozyskać. Och! gdybyś wiedział, ilem cierpiał! Ów wieczór odjął niemało dni biednemu mojemu życiu, zatruił jego ostatek.

I dodał ponuro, boleśnie:

— Jeszcze gdyby jaka przyjacielska dłoń wysunęła się, pomoc dała; gdyby choć jedno słowo litości zabrzmia- ło w uchu, jedno spojrzenie łaski gdyby rozjaśniło chmurę ostrych pocisków. Ale nie, wszyscy byli przeciw mnie, wszyscy...

— Mylisz się pan w ostatniem twierdzeniu — przer- wałem — miałeś obrońców, sam byłem świadkiem. Ka- mil i Michał Gr. brali twą stronę.

Uśmiechnął się gorzko, szydersko.

— Zimna to pomoc, bezwładna litość! Poniżająca zapewne była jałmużna, widzę ją dobrze: półsłowo, giest, uśmiech, stanowiły. Bronili, jak się broni człowieka lub rzeczy, która nas nie obchodzi, w których niewinność nie wierzymy, a choć wierzymy nie stajemy, nie mamy powodu stawania wręcz. Gdybyś znał świat jak ja go znam, gdybyś potrafił wglądać w serca ludzi, jak ja w nie wglądam, jasno widziałbyś co tam jest: — fałsz, obłuda, pozór, miłość własna... Słuszność, głupstwo, sprawiedliwość, czezy wyraz; wszystkiem *ja*, nigdy *my*, wszystkiem bożyszcz własnej korzyści. — Zamyślił się trochę. — Lecz może masz słuszność. Tak, Maurycy, on mógł mnie bronić, on może jedyny człowiek, który nie zląkszy się krzyku zawiści, bluźnierstwa tłumu, wrzasku głupiej opinii, może stanąć w obronie słusznej sprawy, może wzniesć dumny swój głos w obronie potępionego; on jeden, lecz też on czy zechce? Matematyk, człowiek rachunku i zimnych nauk, potrafił jak należy zrozumieć i ocenić poetę?

Chciałem odezwać się z walczeniem wniosku, który widocznie zbolale serce, a może i drażliwość nerwów nasunęła. Malczewski nie pozwolił mówić; jego oko podwójnym blaskiem iskrzyło, na bladą dotąd twarz żywy rumieniec wystąpił.

— Czy lubisz poezję? — zagadnął.

Zdziwił nieco ten zwrot. Odpowiedziałem przecież — tak.

Baczne spojrzenie utopił w mych oczach.

— Kto wie, może nawet i zajmujesz się nią?

Zachłysnąłem się nieco. Rzeczywiście w owych czasach pisałem rymy, wiersze, w których jeźli niewiele sensu, to dość chęci i młodzieńczego zapалу znalazło

się. Podawałem od czasu do czasu który z tych utworów memu nauczycielowi literatury p. Teodozemu S. Chwalił jedno, ganił drugie, zachęcał przecież słowami: „pisz i kształć się panie Amilkarze; dobrych poetów u nas mało, może Bóg pozwoli, zwiększysz ich liczbę.”

Nie zwiększyłem, jak to wam wiadomo moi czytelnicy, i bez wątpienia nie zwiększę; zostawiam ten zaszczyt innym. Bóg im szczęść. Dla zaspokojenia méj dumy, dostateczne powiastki i wspomnienia. Krytyka, to wiecie je gani, lecz księgarze kupują, a ogół czyta; na tém mi dosyć.

Gdym milczał, Malczewski z zapalem i ironią w ciągu całej poprzedniej rozmowy okazywaną, przemówił:

— O tak, lubisz i piszesz wiérse! Młodą głowę, niewinne serce, bystrą wyobraźnią ogarnął szal blasku, sławy, natchnienia, a może i własnej miłości. Pacholik orle, probujesz skrzydeł, aby wzlecieć w niebiosa; motylek, ujrawszy iskrzące światło lampy, kierujesz ku niemu lot, nie wiedząc, że tam właśnie twoje piekło, twój grób. O! tak chłopcze, tam twój grób! Poezya, to okropna trucizna w złotym kielichu ukryta, różanną wonią, boskim nektarem zaprawiona: okrutna Nemezis w szatach tancerki z promieniącym uśmiechem niebianki, z uludném słówkiem kokietki, a ostrym sztyletem w ręku. Biada! gdy zawierzysz jój słodkim wyrazom, złudzisz się jój wabnym uśmiechem, pokochasz; w jój uścisku znajdziesz śmierć, w jój uśmiechu zabójczy jad, w dotknięciu jój ust ostry ciern — zabije.

— Lecz przyszłość? — wtrąciłem, przypomniawszy sobie odę do niej któregoś z francuzkich poetów.

Zaśmiał się boleśnie.

— Ach przyszłość! Ona podobno sprawiedliwość cierpiącym wymierza, sądzi ludzi według ich zasług. Jój nie

przekupisz złotem, nie omamisz zawiścią: ona gieniuszom wznosi kolumny, wyrzuca miliony na uczczenie ich pamięci, świetne wawrzyny na ich grobach składa, odległej potomności ich imiona podaje, chlubić się niemi całym narodom każe. Lecz ta przyszłość, te grobowe danki, miliony marnotrawione umarłym, potrafią wynagrodzić cierpienia terażniejszości? jój nędzę? rozpacz? policzki jakie twój dumie, twemu cierpieniu zadaje? Złoto nagrobku czy wynagrodzi umarłemu z głodu, straszliwe męki konania?

Jego zapal wzrósł, zapal febryczny, gorączkowy; schwycił mą rękę, silnie uściskał, potem za sobą pociągnął.

— Chceszże znać terażniejszość poety? chceszże wiedzieć jak ludzie wynagradzają materyalnie gieniusz? jaki los jego udziałem? pójdź za mną.

Machinalnie uczyniłem co chciał. Wyprowadził z ogrodu, powiodł boczną bramą na Królewską ulicę, do pałacu zwanego Dembowskich.

Znacie bez wątpienia czytelnicy ten pałac. Front jego dosyć okazały i piękny, lecz tylne zabudowania drewniane, w ziemię zapadłe, wyglądają jak nędzarze w łachmanach JWPana błagający o jałmużnę, jak kolumny hypoteki, wskazujące dwa miliony długu milionowej fortunie. Malczewski powiodł w najnędzniejszą stronę dziedzińca, do domku najsmutniejszego pozorem, roztworzył jedne drzwi, „to moje mieszkanie” wyrzekłszy.

Mimowolnie cofnąłem i wzdrygnąłem się. Wychowany na wsi, przyuczony od dziecka do tych smutnych obrazów nędzy, jakie przedstawiają chaty naszych wieśniaków, znałem i ustronia podrzędnych miejskich rzemieślników i poddasza w których wespół z najuboższą

klasą społeczeństwa, mieścili się niektórzy z moich kolegów; żaden przecież z widoków nędzy, wstrząsających serce, dotąd nie odpowiedział temu, jaki obecnie rozpościęrał się przed memi oczyma.

Wyobraźcie sobie czytelnicy izbę, a raczej sionkę 30 łokci kwadratowych, brudną, ciemną, wilgotną; na ścianach ślad zacieku dęszczy, podłoga z wpółzgniłych badyli, wiatr dmie przez szpary spróchniałej podwaliny, w jednem oknie szyby drobne, przepalone od słońca, dwie braknące zastąpione papierem. A sprzęty odpowiednie izbie: dwa czy trzy zydle, łózko pokryte grubą pościelą, szafka, stolik, proste olszowe—już wszystko.

I to było mieszkanie, taka zamożność człowieka, którego obecnie, słusznie za chlubę naszej literatury uważamy, za jedną z tych jej świetnych gwiazd, na jakie pracują wieki aby wydać!....

Serce ścisnęło się, litość i zgroza przejmowały zarazem.

Widok przecież, jaki miałem przed sobą, miał być wkrótce zaćmiony innym więcej bolesnym, więcej przerażającym. Izbę jakkolwiek szczupłą, nie sam Malczewski zajmował. Przy w półrozwalonym dymiącym piecu, bo komina nie było, zatrudniona zapewne przyrządzeniem obiadowej strawy w dwóch drobnych garnuszkach, krzątała się jakaś niewiasta. Mało zrazu na nią zwracałem baczenia, poczytywałem za kucharkę lub posługaczkę poety; nędzny ubiór jaki ją okrywał, utwierdzał w domysle: to tylko uważałem, że nasze wejście o lekki przywiodło ją kłopot. Usunęła się na stronę i zarumieniła niby JWPani, którą niespodziewana wizyta, znajduje przy zatrudnieniu i w ubraniu jakkolwiek świetnem, lecz nieodpowiedniem wysokiej godności.

Malczewski jasno zdawało się, czytał w mych oczach wstrząśnienie umysłu, widokiem okólnój pobudzone nędzy. Śmiał się na swój sposób, a mówił:

— Nieprawdaż? dałem ci obrazek zamożności autorskiego stanu, przy którym gasną wszystkie opisy poetów, wszystkie wizerunki malarzy. A trzeba ci wiedzieć, że i to mieszkanie nad mój stan majątkowy, nie mógłbym opłacić. Z łaski daje murgrabia domul...

Wzdrygnąłem się mimowolnie posłyszawszy oświadczenie podobne. Malczewski zaśmiał się ironicznie, chciał coś rzec, gdy nagle żywy niepokój zabłyśł w jego oku, na twarzy malował się przestrah, febryczny dreszcz obiegł ciało. Suchotny, urwisty, bolesny kaszel wydobywający się z piersi niewiasty, o której wspomniałem, był tego wzruszenia przyczyną. Poeta przystąpił do cierpiącej, ujął za rękę, i głosem silne współczucie i litość znamionującym:

— „Tyś chora Maryo?” przemówił.

Lekko wzdrygnęła się, niby na gorącym występku schwyтана.

— Nie, mylisz się, zdrowam zupełnie — prędką dała odpowiedź.

Jak gdyby chcąc zadać fałsz temu jój oświadczeniu, kaszel z podwójną wzmógł się gwałtownością. W miarę jego wzrastał i przestrah poety.

— Ty mnie oszukujesz Maryo! cierpisz i tajisz twoje cierpienia! — wykrzyknął — twój kaszel czy wiesz biédna, suchoty zwiastuje.

Uśmiechnęła się lekko cierpiąca; bez wątpienia znała stan swego zdrowia, choć to ukrywać kochającemu sercu pragnęła. Malczewski chwilę popatrzył w jój oczy, potem za puls wziął. W miarę zaś jak badał, chmurzyło

się oko, śnieżna prawie bladość okrywała policzki. Nagle, z przestachem opuścił trzymaną rękę, bolesny domysł zapewne w okropną pewność się zamienił. Chwilę niby odurzony nowym ciosem losu, stał na środku izby milczący, cierpiący wewnętrznie; wreszcie, zwrócił się szybko do stolika, wyciągnął szufladkę, wydobył z niej skąpo napełniony woreczek, i włożywszy go w boczny kieszeń czamarki, zapominając o méj obecności, ujął za kapelusz i chciał wyjść.

We drzwiach przecież wstrzymany został. Pobiegła za nim biedna cierpiąca.

— Na Boga, Antoni! gdzież chcesz iść? — poszepnęła mu czułym głosem wieszając się u ramienia.

— Gdzie? odparł żywo — możesz pytać się? do doktora, do apteki. Tać ci bowiem nie powinienem, twój stan więcej niż kiedy niepokoi, puls zwiastuje gorączkę, a kaszel....

— Lecz ja cię zapewniam — przerwała niespokojnie — mnie nic... chwilowe osłabienie tylko, skutek niedawnej choroby dolega... Bóg da, przejdzie wszystko z czasem. Nadto, czy nie wiesz co powiedział doktor: lekarstwa nie pomogą. Próżna tylko strata pieniędzy.

O konwulsyjny dreszcz przywiodły te wyrazy poety, okropny niezawodnie obudziły wspominek. Ulegając mu odstąpił ode drzwi.

— Tak, masz słuszość! wykrzyknął — doktor nie pomoże nic, wiesz co mi wczoraj powiedział: „na suchoty nie ma środka.” Spokojność umysłu, zmiana klimatu, ciepłe niebo Włoch, przejażdżka do wód, jedynie zbawić cię mogą. — Zaśmiał się szydersko. — Przejażdżka do wód, dobra rada, łatwa do wykonania bogaczom; ale nam,

nam że biędni jesteśmy nie ma zmiłowania od Boga, pomocy od ludzi; nam cierpieć i milczć trzeba!

Przystąpił do mnie, febryczném oblał spojrzeniem.

— A prawdę mówię, rzekł, chceszzcie znać kasę poety?—wydobył z kieszeni sakiewkę, wytrząsnął na stół, posypnęło się kilka, 10 do 12 złotych zdawkową monetą—to cały mój majątek, jedyny fundusz na utrzymanie życia! a ma starczć Bóg wie na jak długo; na miesiąc i więcéj, do końca nędznego żywota.

— Antoni! Antoni! poszepnęła składając ręce błagalnie niewiasta.

Nie zważał przecież Malczewski na te jćj słowa; boleśnie nadmiarem cierpienia miotany, śmiał się, przerzucał piędziedze.

— Tak, to cały mój majątek! więcéj ni grosza, ni nadziei zkąd dostać, ni możności zarobku. Rozumiészcie moje niedolę, moje troskę? A to jeszcze niedość—wskazał na niewiastę—muszę poglądać na jćj cierpienia, patrzeć na jćj konanie. Co godzina, co chwila, muszę widzić ubiegające życie z jćj ciała, a! dopomódz nie mogę, a ocalić niespósób! Ach to strasznie! Czujesz, to więcéj boli niż własna śmierć!...

— Zmiłuj się Antoni! daj pokój! przestań! zabijasz mnie — szeptała przestraszona wybuchem rozpaczyny poety, niewiasta.

Nie zważał przecież na tę prośbę; nieszczęśliwy zapal jego wzrosł.

— Tak! wykrzyknął ponuro—słuszny wyraz dałaś, ja cię zabijam Maryo! ja cię zabiłem już nawet! Któż gdy nie ja zdruzgotałem twe szczęście, zatrąłem życie? Młoda, dobra, cnotliwa, anioł ziemski, bogata; komuż jeźli nie

mnie powinnaś przekleństwa nieść? Komu, gdy nie mnie powinnaś bluźgać w oczy ohydą, troską dzisiejszą, cierpieniem i śmiercią swoją? Tak, ja to zabiłem cię! I więcej: ja dobrą, pograżyłem w otchłań nędzy, cnotliwą wzgardzie świata oddałem! Kochając cię, jedyną istotę na ziemi która mnie kochała, moje pocieszycielkę, anioła stróża, popchnąłem w otchłań nędzy, zniweczyłem, zdeptałem! O Maryo! twoje cierpienie więcej boli niż własne, twoja męczarnia konania ciężkimi policzkami mojemu honorowi, mojem piekłem, mojem potępieniem! Ja zbrodniarz, Maryo! twoja śmierć to moje dzieło!..

Wysilony nadmiarem uczuć, upadł bezwładnie na zydel, podparł blade czoło drżącą ręką i dwa strumienie łez po bladój popłynęło twarzy.

Nie moge wyrazić ile to jego cierpienie wzruszyło, wstrząsnęło mną całym: było obraz smutku, rozpacz, jaki nigdy nie wyjdzie z pamięci. Żywy on w niej, niby wczoraj uderzał oko. Biedna cierpiąca zaś, nadaremnie starała się uspokoić rozpaczającego; nie słyszał zdawało się jój prośb i słów. W parę minut dopiero, ukoił się nieco, otarł łzy, powstał z zydła, i dojrzał mnie stojącego na stronie.

— Ach! jesteś chłopcze! — wyrzekł wtedy przerywanym piersiowym głosem. — Zaiste, szczególnieś przyjmuję gościa w mym domu... Ależ kto wie, czy to przyjęcie na twoje korzyść nie będzie. — Zwrócił się do niewiasty. — Wiédz bowiem czemu go tutaj przyprowadziłem: on poeta, młodą wyobraźnię szalę sławy ogarnął, marzy o laurach autora, wierzy w gieniusz, w świat, w sprawiedliwość ludzi. A mimowolnie poddałem żeru jego szaleństwu; moja Marya podobała mu się, olśniła

bujny umysł, zachęca do rymów, do chwały. Chrześcianin i człowiek zmiłować się powinien, z dobrą radą przyjść, dać przykład szczęścia poety. Przypadek posłużył więc więcej niż chciałem lub mogłem uczynić; i po tém coś widział i słyszał chłopcze (to już do mnie mówił), jeśli nie zdruzgoczesz pióra, nie spalisz twych gryzmoł, nie wyrzekniesz się książek na wieki, nie moja wina; żadna moc ludzka od zguby nie zdoła cię ocalić.

Przeszedł się parę razy po izbie, a szeptał więc więcej do siebie niżeli do mnie:

— Ach, tak! dobre lekarstwo dałem. Bóg mi go na karb ciężkich grzechów policzy. Och gdyby kto w mojem dzieciństwie z równą pomocą przyszedł, byłbym dzisiaj szczęśliwy, spokojny, życie śmiałoby się! — Dotknął lewego boku — śmierć nie groziłaby, nie paliła wnętrzości przed czasem. Ale nie, wszystko i wszyscy spiknęli się na mą zgubę: dumie matki pochlebiał poetyczny zapal i talent syna, niedorzeczni nauczyciele psuli pochwałami swojemi, ojciec w książkach kazał szukać rozumu, sławy, a więc i szczęścia; dalej, przyjaciele bałamucili, dalej — miłość dokonała reszty. Tak, tyśto Maryo stanowczy przyniosła cios! — Zwracając się do niewiasty dołożył: — Ty Maryo ostatnie zgubie oddałaś; tobie się podobał poeta, miłém słowem, pięknym uśmiechem podniecałaś jego marzenia, wyskoki chorój wyobraźni, oliwę lałaś na pożar jego szaleństwa. Ty zwątlonego, do rozumu wracającego, zachęcałaś poszeptami nadziei, nęciłaś obrazem świetnej przyszłości; ty mu kazałaś wierzyć w ludzi i los, i oto co ja dzisiaj, co ty! Ach obydwoje byliśmy winni, obydwoje słusznie cierpieć musimy!

Biédna niewiasta jakby srodze dotknięta wyrzutem poety, jakby czując słuszość obwinienia, smutnie głowę zwiesiła na pierś: głuchy jęk wydobył się z jój piersi. Malczewski nie uważał na to, pociągnął mnie dość silnie przed płaczącą i wyrzekł:

— Tak, masz przed sobą panią R., jak anioła pocieszyciela, tak i szatana mojego. Masz przed sobą istotę, która jak różami usypała kilka kroków drogi mojego życia, tak resztę jój bolesnemi zapełniła kolcami. Lubisz moje Maryą, czytałeś ją chętnie? ta pani, którą widzisz przed sobą, to ideał bohaterki mojego poematu, moja żona...

Wzdrygnąłem się cały. Rzeczywiście i wczoraj wieczór i dzisiaj rano, czytającemu z zamięłowaniem książkę, jój ideał stawał przed okiem duszy, lecz stawał bogaty pięknnością, szczęściem, nadzieją... A kogóż miałem przed sobą? istotę biédną, cierpiącą, złamaną zarówno fizycznie jak i moralnie, przygniecioną troską, żebraczą odzieżą pokrytą, łup blizkiój śmierci. A to był ideał Maryi, Marya sama, natchnienie wieszczą, piękne bóstwo méj wyobraźni!...

Odczarowany byłem, odurzony niejako podziwem i smutkiem. Poezya rzeczywistém szaleństwem, cudny poemat wierutném, niegodziwém kłamstwem wydawał się mi.

Te zaś uczucia niezawodnie musiały się na méj twarzy i w oku pietnować, bo Malczewski znowu śmiał się i mówił:

— Ach! jeden jeszcze listek oberwał z kwiecica twojój wyobraźni, jeden jeszcze policzek zadałem pocie! Korzystaj z nauki chłopcze, dla twego własnego dobra żyć, aby ona nie była straconą.

I że nie była straconą, wspomniałem to wam moi czytelnicy. Odkąd rozum przyszedł do głowy, ani dwóch rymowych nie złożyłem wierszy: czy dotrwam do końca życia w tym zamiarze, nie wiem; lecz proszę Boga aby się tak stało.

W wstrząśnieniu umysłu nie do opisanie zesła mi reszta dnia. Straszliwy obraz, jaki w mieszkaniu Malczewskiego miałem przed oczyma, ciągle ścigał i dręczył; nie mogłem się uspokoić. Przyszła też inna jeszcze myśl, jedno silne nie do złamania żądanie: chciałem nieszczęśliwemu dopomódz. Lecz jakim sposobem dopomódz? oto w czém był kłopot. Biędny student, na łasce dosyć oszczędnego zostający rodzica, kilkanaście złotych tylko na drobne miałem wydatki. Do kogoż się udać? Chciałem do Kamilla, znałem jego dobre serce, lecz przyszła uwaga, że i jego fundusze bardzo ograniczone. Przyjaciół choć ma, i ci niewieleby mogli dopomódz: głowy dobrze, lecz kieszenie szczupło opatrzone były. W rzeczywistości znajdowałem się kłopotcie, aż dopiero wieczorem szczęśliwa jak sądziłem myśl przyszła.

W Warszawie w owych czasach, mieszkała jedna z moich dalekich kuzynek; od czasu do czasu uczęszczałem do jej domu. Młoda, bogata a wdowa, gromadziła przy sobie co najlepsze towarzystwo stolicy; lubiąca zaś literaturę, sama nawet autorka, przytém żywa i dowcipna, chętnie otaczała się ludźmi znakomitemi w zawo-dzie piśmienniczym. Nie lubiły ją dlatego inne damy, posądzając o uczoność, sobriket, *bas bleu* dawały. Nie zważała na to i robiła dobrze, a jak wspomniałem, dom jej był zawsze otwarty dla dobrego towarzystwa i niém napełniony. I to powinienem dodać, że jeden dzień

w tygodniu, wyłącznie prawie na przyjmowanie i ugaszczanie autorów obracała; tym dniem była sobota.

Otoż, zajęty myślą dopomożenia Malczewskiemu, chciałem się udać do méj pięknej kuzynki. Prawie zaś pewny byłem pomyślnego skutku prośby; równie jak dowcipną i uczoną, była litościwą i dobrą, rachowałem téż na współudział w wsparciu zebranych w jéj domu literatów. Mogliż opuścić współpracownika w niedoli? Poszedłem tedy.

Salon mojej kuzynki, napelniony był jak rzadko kiedy. Wszyscy ówczesni koryfeje literatury znajdowali się: wymowny Osinśki, poważny autor Ziemiaństwa, nieśmiertelny twórca Powrotu Posła, Gerard Witowski znany kompilator, tłumacz Pustelnika z Krakowskiego - Przedmieścia; kilku najuczeńszych professorów, kilka dam lubiących literaturę; wreszcie dowcipny bajkopisarz pułkownik M. i śmiesznej pamięci, śmiesznej postawy, śmiesznych wierszy autor, kawaler bożogrobski, Jaxa Marcinkowski.

Innego rodzaju była już tu literacka rozmowa jak w domu mojego mentora. Poważny naukowy areopag, mężowie spoczywający na krwawo zapracowanych laurach, nie unosili się zapalem, nie bronili swoich zdań z uporem silnego przekonania. Naukowe ich rozprawy były spokojne, poważne, ogładzone towarzyskim układem, ochłodzone zimną krwią mędrców. Zdania jakie dawało były oględne; broń Boże kogo dotknąć, obrazić; ma się jednak rozumieć, że mówię o zdaniach dotyczących dzieł autorów, mających socyalną pozycyą w świecie; bo co się tyczy innych podrzędnych, szalonych romantyków, hołoty z Starego Miasta, ludzi bez znanych nazwisk i świe-

tnych tytułów, na nich umiano krzyczeć, obluźgiwać sarkazmami, pogardą obarczać.

Rozmowa téż chociaż dotyczyła dzieł krajowych, wiedzioną była prawie wyłącznie po francuzku. Łatwo sobie wyobrazić, jak dziwacznie brzmiały rozprawy i rozbiory dotyczące dzieł Krasickiego, Trębeckiego i t. p. w obcym języku niesione, oparte na powadze La Harpa, Woltera lub Boalo. Ależ i to dodać muszę, że krajowa literatura bardzo mało zaprzętała poważny areopag; francuzka wyłącznie prawie zajmowała jego uwagę. Czuli i mdły d'Arlinecourt, Chateaubriand, Pradt i t. d. oto byli autorzy, nad którymi najwięcej lubiano się zastanawiać, i których utwory debatowano (jak zwano wówczas) w salonie mojej kuzynki.

I téj soboty, o której wspominam, nieinaczéj działo się; blisko godzinę rozprawiano o Samotniku wice-hrabi d'Arlinecourt'a, dalej o nowéj odzie Chateaubrianda, wreszcie zmiłował się autor Ziemiaństwa, i donośnym, poważnym, miarowym głosem, odczytał jakiś ustęp z swego poematu, który w Wandzie miał być umieszczony.

Naturalnie, panu radcy nie szczędzono pochwał; zaczęły one innych poetów. Jaksa Marcinkowski szurgotał krzeselkiem, kaszlał, i za pazuchę sięgał, chcąc zwrócić na siebie uwagę: nie widziano lub udawano, obawiając się nędznych wierszy, że nie widziano tych giestów, aż dopiero wesoły pułkownik M. wyrzekł:

— Założę się, że nasz pan Jaksa, ma jaki do czytania wierszyk. Cały dzień nie wychodził, obiad mu nawet musiałem do mieszkania posłać. Poetycka wena niezawodnie jakimś arcydziełem natchnęła.

Uśmiechnął się wierszokleta.

— Rzeczywiście panie pułkowniku, Apollo i muzy raczyły dzisiaj łaskawém okiem spojrzeć na swego wielbiciela. Protestuję jednak przeciw całodziennéj pracy; kilka minut ledwie ona trwała; pisałem jak powiada Horacy na jednéj nodze.

— Musiałeś przecie jakie paręset rymów skleić?
Westchnął poeta.

— Tyle nie, zawsze jednak trzydzieści strofek się znajdzie. Jeżeli państwo pozwolą przeczytam.

Ten i ów zakrzaknął niecierpliwie, poruszył się na krzeselku. Professorowie poważne nastroili miny, niby gotowi do słuchania, a następnie do dania *ex catedra* wyroku. Moja kuzynka lekkim giestem zdradziła, że nie bardzo rada nudnemi utworami bożogrobskiego kawalera trudzić uszu; tegoż zdania była i większość przytomnych, lecz pułkownik ukradkiem zaczął dawać znaki. Domyślono się tedy, że wesoły ma projekt zabawienia towarzystwa kosztem wierszoklety; jakoż, rzeczywiście tak było.

Więrsze Marcinkowskiego, jak się słusznie domyślano, były nędzne, sensu ni za grosz: poważne alexandryny bez natchnienia, obrazy bez malunku. Czytał téż je dziwnym jakimś, piskliwym i sykliwym głosem, jękając się co chwila. Przecież gdy zakończył, pułkownik wykrzyknął:

— Klęę się na Apollina i muzy, że to jest arcydzieło! Poezya gotowa zaćmić Iliadę, Oddysseę, Henryadę i wszystkie arcytwory nowych i starożytnych poetów świata. Nasz pan Jaksa olbrzymiemi krokami stąpa na szczyt Parnassu; wkrótce trzeba mu będzie stawiać granitowe pomniki, bronzowe piramidy. Nieprawdaż moi panowie?

Zrozumiano żarcik, przykłaśnięto mu, a równie przesady pełne zwracano wierszoklecie pochwały; brał je przecież za dobrą monetę, uśmiechał się zadowolony z siebie, kłaniał lekko lub nisko w miarę szumnych szyderstw jakie mu dawano. Komedią powiększył pułkownik, zwrócił się do méj kuzynki.

— A kiedy tylu wielkich ludzi dąży na Parnas, gdy pan Marcinkowski szturmem chce go zdobyć, pozwólże i mnie *comtesse*, biédnemu słudze Apollina, jakiej takiej sławy zapragnąć. Mam właśnie przy sobie wierszyk odpowiedni dopiero co czytanemu.

— I owszem, mój pułkowniku, jestem gotowa słuchać—odpowiedziała moja kuzynka. Jednomyslnie zgodzili się na to wszyscy przytomni. Wesoły pułkownik, wyjął z kieszeni parę ćwiartek papieru:—Będzie to ballada, wyrzekł.

— Jakto ballada! wykrzyknął ten i ów. Pan pułkownik do szkoły romantycznej przechodzi?

— Co robić, trzeba winne uszanowanie złożyć modzie; owszem, uprzedzić winienem, moja ballada jest czysto według zasad nowój napisana szkoły. Ssensu niewiele, ale duchów, mar i cudowności bez końca.—I rozwinawszy papier, odczytał powszechnie znany, niezrównanego dowcipu swój utwór: „Zakłeta księżniczka w Ordynackim pałacu”. Jaksā Marcinkowski główną gra rolę, jak wiemy w owój balladzie: onto bowiem uwalnia zaczarowaną księżniczkę, uspiwszy swemi rymami strzegącego szatana.

Łatwo wyobrazić sobie ile śmiechu, wesołości i oklasków pobudziła odczytana ballada; zwiększał jeszcze zadowolenie gniew wierszoklety. Niewinny i nie łacno obraźliwy byłto człowiek, ależ teraz zbyt jawnie, nazbyt

dotkliwie rzucono mu w oczy obelgę. Sarkał tedy, miotał się, dąsał, a wreszcie porwawszy za kapelusz, bez pożegnania opuścił salon.

Co się mnie dotyczy, mało brałem udziału w powszechnej weselości; coby inną razą o dobry humor przywiodło, teraz nieznośném się zdawało. Nędza Malczewskiego i chęć przyniesienia mu pomocy, zajmowały umysł; byłem ponury i zadumany, dobra kuzynka zwróciła na to uwagę, i spytała o powód. Zarumieniłem się cały, nie wiedziałem jak wyznać prawdę. Szczęściem, dopomogła książka Malczewskiego, miałem ją zanadrem i wydobyłem.

— Ach! chciałżebyś nam co przeczytać panie Amilkarze? rzekła kuzynka.

— Nie śmiem— odpowiedziałem— lecz ten poemat który mam przy sobie, zasługiwałby na słuchanie państwa. Jestto utwór, który prawie powszechnie chwalą w Warszawie.

— Niezawodnie nowe dzieło romantycznej szkoły— zrobił uwagę któryś z professorów; inny wziął książkę, i na głos przeczytawszy tytuł, obojętnie a nawet z pewnym odcieniem pogardy dodał:

— Nie znam ni dzieła, ni autora.

— Teraz nie pyta się o podobne rzeczy panie Felixie— odrzekł dowcipkując Osiński.— Poeci u nas rodzą się jak grzyby po deszczu; można nie znać, lecz trzeba uwielbiać.

— I więdną i nikną równie szybko jak grzyby, odpowiedział professor Felix. Do każdego zaś możnaby przystosować twoję parodyą panie Ludwiku:

„Głucho wszędzie, ciemno wszędzie,
Coto będzie? nic nie będzie.”

Roześmiano się chórem, biedny poemat potępiony był bez czytania i rozbioru, gdy któryś z gości przemówił poglądając na nadpis książki:

— Antoni Malczewski... ależ to mi znane nazwisko, owszem i imię pamiętam.

— I ja także — wtrącił autor *Ziemiaństwa* — zdaje mi się nawet, widziałem osobę — przeciągnął ręką po czoło — jeśli się nie mylę, w twoim salonie *comtesse*.

Ta uwaga o lekki kłopot, zdawało się, przywiodła hrabinę; lekki rumieniec wystąpił na jej piękną twarz. Poskromiła przecież wzruszenie i niedbale odparła:

— Być to może. Niezawsze się jest w możności znać osoby w towarzystwie przyjmowane, nieraz i do domu wejdzie ktoś taki, kogo poznawszy lepiej, nie radzi jesteśmy przyjmować. Co się tyczy tego pana, o którym mówisz radzco, zdaje mi się iż bywał w moim salonie; lecz to tak dawno, że mi wyszło z pamięci.

— Ależ *comtesse*, powinnaś pamiętać — wtrącił szambelan Z., chodząca warszawskich towarzystw kronika — Malczewski człowiek przystojny, syn generała, dawny oficer, bywał po różnych znakomitych domach, lecz konduita nie najlepsza.

Ta uwaga, musiała dopomódz pamięci przytomnych, lecz zarazem niezawodnie i niebardzo przyjemny obudziła wspominek: bo uważałem, ambaras mojej kuzynki zwiększył się, a ten i ów szambelanowi dawał skryte znaki, żeby przestał mówić. Pan Z. nie uważał przecież na nie i ciągnął rzecz swoją:

— Znałem ojca, człowiek był bardzo do rzeczy, lecz syn nie udał się wcale. Jak wspomniałem, konduita podejrzana, bałamut, szalaput, osiedlił się na Wołyniu: tam rozwiódł jakąś szlachciankę, do Warszawy przy-

wiózł, stracili majątek, a teraz podobno bięda. — Zwrócił się do mnie — nie wieszże pan co o nim? gdzie mieszka? co porabia?

Stosowna, zdawało mi się byłato pora do przemówienia za nieszczęśliwym poetą. Prostując się tedy na mém krzeselku, w jak najkwiecistszy sposób, jak najwięcej oratorsko, chciałem wypowiedzieć co ciąży na duszy, dać obrazek nędzy i skłonić towarzystwo do wspomżenia wieszczą; ledwiem przecież zaczął mówić, kuzynka żywo powstała z krzeselka, spojrzała na zegar, uśmiechnęła się towarzystwu — Ach! jak czas zchodzi prędko! to już 11 — wyrzekła.

Niebardzo grzeczne byłoto wyproszenie gości, ale przed dwudziestu kilku laty, przebaczano wiele rzeczy młodym i pięknym kobietom. Bez obrazy tedy brano za kapelusze, i żegnano się. Gniówny, że mi się projekt nie udał, i ja przystąpiłem aby pożegnać gospodynię domu.

— Proszę, zatrzymaj się chwilę panie Amilkarze! — wyrzekła mi cicho i szybko — chciałabym pomówić z tobą, gdy się goście rozejdą.

Uczyniłem co chciała. Salón wkrótce był pusty, moja kuzynka przeszła się zamyślona wzdłuż parę razy; wreszcie wstrzymała się przedemną.

— Znasz ile uważam autora książki, tego pana... jakże się zowie... Malczewskiego?

— Tak... trochę, przedwczoraj poznałem, dzisiaj rano byłem u niego.

— I ja go znam, mało wprawdzie, lecz los jego obchodzi mnie. Szambelań mówił, że stracił majątek.

— Ach! niedość że stracił, nie uwierzysz kuzynko ile nieszczęśliwy!

— Prawda tedy, co mi mówiono niedawno—żywo przerwała—com uważała spotkawszy go temu kilka dni w Saskim ogrodzie? Cierpi niedostatek, zrujnowany zupełnie?

Teraz dopiero mogłem puścić wodze mojej wymowie, ulżyć sercu; wypowiedziałem com widział w mieszkaniu poety, jego nędzę, niedolę. Moja kuzynka słuchała powieści z zajęciem, drobna łza nawet zabłysła w oku; gdy skończył przemowę za nieszczęśliwym prośbą o pomoc, żywo podniosła się z krzesła, postąpiła do biurka, i wyjąwszy rulon pieniędzy, wsunęła mi w rękę mówiąc przerywanym głosem:

— To strasznie, okropnie, podobna nędza, taki upadek! a przecież byłto człowiek, który mógł być szczęśliwym, który podobać się umiał. Panie Amilkarze! oddaj mu to, nie wspominaj przecież, że datek odemnie pochodzi; od czasu do czasu zaś proszę zawiadamiaj jak się ma, pomyślę później o zapewnieniu mu losu.

Podziękowałem pięknej dawczyni za obietnicę i pomoc pieniężną. Ciekawy jakiej byłaby ilości, po wyjściu wstąpiłem do jednej cukierni i rozwinąłem rulon.... Radość moja nie miała granic; samo złoto posypnęło się z papieru, było sztuk przeszło pięćdziesiąt.

— Będzie za co pobawić się, nieprawdaż panie Amilkarze? szepnął mi w ucho głos dosyć znajomy, szyderski, ucinkowy. Odwróciłem się, parę osób towarzystwa mojej kuzynki stało za mną: hrabia Bruno Kiciński redaktor Wandy, G* i ktoś jeszcze kogo teraz przypomnieć sobie nie mogę. Wszystko młodzież dobrego tonu, wesola, wielkiej jak utrzymywano zdolności.

— Te pieniądze nie moje—odrzekłem na uwagę Kicińskiego—i nie na zabawę, lecz na dobry przeznaczone uczynek.

— Na dobry? powtórzył śmiejąc się tłumacz Przemian Owidyusza—nie możnaby przecież wiedzieć na jaki i od kogo?

Milczałem, on zwrócił się do swych towarzyszy: —Idzie trzy butelki szampana, że zgadnę kto i komu przesyła pieniądze.

Propozycja podobała się niezmiernie młodzieży. Przyjęto ją chętnie, a hrabia mówił dalej:

— A najprzód, złoto wyszło przed chwilą z pięknych rąk naszej hrabiny.

— Wybornie, przerwał G*, lecz dla kogo?

— Dla autora książki, którą tak *mal à propos* pan Amilkar zaprezentował na dzisiejszém literackim posiedzeniu—dla Malczewskiego.

Zdziwiony byłem trafném odgadnięciem tajemnicy i nie umiałem tego pokryć. Wygrana więc na stronę Kiścińskiego rozstrzygniętą bez sporu została.

— Ale zkądże o tém wiész? spytał G.

— Ach! widać że przyjeżdżasz z głębi Ukrainy—odparł zagadniony, i dodał po francuzku:—Trzeba ci wiedzieć, że między biédnym autorem a bogatą hrabiną, był temu parę lat romans. Ludzie mówili wiele rzeczy, ślub się nawet miał skojarzyć. Malczewski człowiek całkiem salonowy, podobać się umie; niemało intryg miłosnych kładziono na karb jego, lecz wietrznik, nie potrafił być wiernym, opuścił dla jakiejś jejmości na Wołyniu; w sercu hrabiny przecież tkwi reszta dawnych uczuć. Uważaliście jęj ambaras, przy gadance starego szambelana? Pożegnano téż nas wcześniéj niż zwykle; łatwo tedy mogłem się założyć.

Że powieść hrabiego była prawdziwą, przeświadczyłem się późniéj. Rzeczywiście człowiek, którego wczo-

raj widziałem w dokuczliwym niedostatku, w okropnej nędzy, umierający z głodu, złamany troską, miał swoje przeszłość, a przeszłość błyskotną, szczęśliwą, pełną nadziei i rozkoszy. Znany też był w świecie nie z wysokiego swojego talentu, nie z blasku gieniuszu, lecz właśnie z strony obraźliwej dla człowieka — z nadużyć darów przyrody i fortuny. Szczególniejsze urągowisko losu!..

Całą noc oczu zamknąć nie mogłem. W głowie rozliczne krzyżowały się plany, nie wiedziałem jak otrzymać pomoc wręczyć Malczewskiemu; obawiałem się, aby wprost daną nie odrzucił jako upokarzającej jałmużny. O wczesnym ranku, pobiegłem zatem do mego mentora; lecz że była niedziela, korzystając z wolnego czasu, wyjechał o kilka mil za Warszawę do rodziców; rad nie rad zatem, udałem się sam do poety.

Drzwi przecież jego mieszkania znalazłem zamknięte; kołatałem, nikt się nie odzywał, zajrzałem oknem, w izbie pusto; chciałem się wywiedzieć od sąsiadów o losie nieszczęśliwego, lecz ci sąsiedzi byli to Izraelici, własne interesa na uwadze u wszystkich. Co ich obchodził jakiś tam człowiek nędzarz, z którego zysku nie mieli!

Przypomniałem sobie o murgrabi; jako zawiadowca domu, a nadewszystko opiekun poety, musiał coś o nim wiedzieć. Nowy zawód, pan murgrabia poszedł do kościoła na mszę, ze mszy miał się udać na Pragę do jednego ze swoich przyjaciół na obiad, po obiedzie bez wątpienia pojedzie na Saską Kępę, i nie wróci aż późno wieczór.

Te objaśnienia dawała mi gospodyni rządcy domu: stara, garbata i głucha jejmość; zagadnąłem czy nie wie co o panu Malczewskim mieszkającym w tym domu.

— Pan Malczewski? mruknęła — nie ma tu lokatora podobnego nazwiska; znam przecież wszystkich — i liczyła na palcach: kupiec Janasz, hrabia B., radca C. i t. p.

— Ten pan mieszkał w małym domu, od tyłu w dziedzińcu.

— A — ah!.. teraz wiem. Toż zapewno ów biédak, co mu jegomość z łaski dawał lokal. — Próżniak jak drugiego na bożym świecie nie znalazłeś. Umierał z głodu, a przecież do pocziwój roboty nie chciał się wziąć. Gryzmolił tylko całe dni; mam tu jego papiéry, przyniosłam dzisiaj. — Sięgnęła do szafki, wydobyla istotnie kilka zeszytów dość grubych.

— Patrzno jegomość! oto jego dziedzictwo, cała sukcesya; bo o reszcie i mówić niewarto. Stróż kamienny więcej bogaty....

— Lecz co się z nim stało? gdzie jest?

— Hm gdzie? tam gdzie mu przepowiedziałam że będzie... gdzie radziłam mojemu jegomości, aby go dawniej odesłał...

— Ależ zmiłuj się pani! odpowiedz dokładniej — zniecierpliwiony wyrzekłem.

— No, rzecz prosta, jest w szpitalu, wczoraj go jegomość odesłał.

— W szpitalu? jakto być może? dlaczego?

— Biédak z głodu i chłodu dawno był cierpiący i zmizerowany. Wczoraj koło południa, choroba się odezwiała; miał konwulsye czy coś podobnego. Kobieta co była przy nim, do mojego jegomości przybiegła prosząc aby się zmiłował i dopomógł. Jegomość do pana kommissarza posłał, a ten jak to powiedziałam, do szpitala kazał odwieźć.

— Lecz z kobieta, o której pani wspomniałaś, z żoną nieszczęśliwego co się stało?

— I z nią nie lepiej, i ona nieboraczka niedługo na tej ziemi pożyje, tak pan doktor powiedział; do szpitala kommissarz także oddał...

— Lecz do którego szpitala, nie wiesz asani?

— Bóg tam zna, łatwo przecież dowie się panicz; trzeba tylko przyjść rano, jegomość objaśni. Żałował zaś biedaka, bo powiada, że doktor nad dni kilka nie obiecuje mu żyć.

Snadno pojmiecie ile przeraziła podobna wiadomość. On, twórca Maryi w szpitalu! A kto wie, może ja sam przyłożyłem się do jego śmierci; bez wątpienia, wzruszenie wczorajsze, którego niewinnym byłem powodem dobiło.

Los który niejako uparł się, aby przeszkadzał w chęci przyniesienia pomocy nieszczęśliwemu poecie, przesładował do ostatka. Zaledwie wróciłem do mieszkania, znalazłem list od ojca zawiadamiający o chorobie matki, i nakazujący bezwzględny wyjazd na wieś. Naturalnie, nie mogłem się wahać, tego jeszcze dnia byłem w drodze.

Ukochana dawczyni życia mojego, na ten raz jeszcze ocaloną była od śmierci, ale choroba jej trwała długo. Dwa tygodnie strawiłem przy łożu jej cierpienia, gdy przyszła nieco do sił, wróciłem do Warszawy.

Mój przyjazd 4go maja 1826 roku miał miejsce. Ledwie co po utrudzającej wytchnawszy podróży, ubrawszy się jako tako, pobiegłem do Dembowskich pałacu, dla wywiedzenia się o losie Malczewskiego; po drodze zaś chciałem wstąpić do pięknej mojej kuzynki, aby jej

oddać jakąś od mych rodziców przesyłkę. Kuzynka przyjęła mnie jak zawsze uprzejmie. Nie była zaś samą, pewny oficer od ułanów, znajdował się w salonie. Młody to był człowiek, przystojny, majątny, i starał się o rękę wdowy.

Uskuteczniwszy zlecenie rodziców, chciałem się oddalić; lecz zatrzymała hrabina ofiarowaniem obiadu. Nadaremnie wymawiałem się; woli nie lubiącej przeciwnieństwa niewiasty, trzeba było zadość uczynić. Po obiedzie, że dzień był piękny, wyszliśmy na balkon domu. Oficer mojej kuzynce prawił ułudne francuskie grzeczności, ona słuchała ich rada; ja byłem zadumany, oczekując na sposobną chwilę, w której bez obrażenia światowej przyzwoitości mógłbym się oddalić, gdy oto niespodziewany widok uderzył oczy.

Na ulicy zasztukotał pogrzebowy karawan, o jednym koniu czarną deką pokrytym, o trumnie prostej sosnowej, czarno malowanej; biały krzyż na wieku, blaszana tabliczka przy węglowiu, jedyną jej były ozdobą. Śpiewów księży, świetnych powozów towarzyszących obrzędowi, tém mniej innych oznak dostatku, zwykłych pogrzebom bogaczy, nie było; co więcej, zmarły nie musiał mieć ni przyjaciół, ni rodziny... Musiał być jednym z tych ludzi, których los ojczym, pośepnym sieroctwem dotyka, bo nikt ostatniej nie oddawał posługi, nie szedł za trumną...

Mylę się jednak napisawszy to; miał on swój orszak pogrzebowy; po chwili baczniejszego poglądu, dojrzałem za karawanem trzech, czy czterech mężczyzn, a na czele, z głową odkrytą, sklonioną ku ziemi, z założonemi na krzyż rękami, szedł Kamil....

Wzdrygnąłem się, bolesne przeczucie ścisnęło serce. Spojrzałem na blachę trumny i czytałem:

Antoni Malczewski
urodzony 1792 roku.
umarł 2 maja 1826 r.

Wykrzyk, jaki mimowolnie wyrwał się z mych piersi, ściągnął uwagę kuzynki; zwróciła piękne oczy na trumnę, przeczytała zapewne fatalny napis, bo lekko wzdrygnęła się, pobladła i przeszła do salonu. Pan oficer bacznie okiem śledził te jej poruszenia; widać, znał dawne skłonności, gdyż pochmurzył czoło i nachyliwszy się do jej ucha, coś w nie zcicha poszepnął. Uśmiechnięto się mu pięknie, słodko, i odpowiedziano półgłosem:

— Nie łaj pan, ani dziw się; miłość oddawna już przeszła, lecz litość została. Tęj trudno zabronić.

To była pogrzebowa mowa dawniej kochanki.

Co do mnie, opuściłem świetny i wesoły salon, a złączyłem się z szczytnym i biédnym pogrzebowym orszakiem. Gdy ujrzał Maurycy, uścisnął za rękę i szepnął:

— Dziękuję ci za ten chrześcijański uczynek. Biédny — wskazał okiem na karawan — kilkakrotnie w ciągu ostatniej choroby wspominał o tobie; kazał zachować w pamięci naukę jaką dał.

* * *

Cóż mam więcéj powiedzieć? Malczewski rzeczywiście umarł w szpitalu. Ostatnie przecieź godziny biédnego jego życia umiłone były żywą opieką Kamilla; dowiedziawszy się trafunkiem o chorobie poety, starał się mu dopomagać ile tylko dozwoliła możność. Wsparcie mojej kuzynki nie mogąc wieszczowi, wręczyłem jego Maryi. Nie wiem czy się zdalo na co nieszczęśliwéj: śmierć męża nazbyt dotknęła, aby groźnej choroby jaka

się zawiązała w jej piersi nie zwiększyć i śmiertelną nie uczynić. Mimo odrad moich i Kamilla, opuściła Warszawę i żadnej wiadomości nie dała o sobie. — Moja kuzynka wyszła za mąż za oficera hułańów, lecz i ona już w grobie. W grobie spoczywa i Kamil i większa część osób wspomnianych w mojem opowiadaniu. Dwadzieścia dwa lat przecież tylko rozdziela nas od owój epoki! lecz śmierć łaknie ofiar, i nieubłagana zabiera je skwapliwie.

Epoka dwudziestu lat jednak, niszcząc ludzi, ocala ich dzieła; owszem, wywyższa i według zasługi ocenia. Któż dzisiaj nie zna Maryi Malczewskiego? Ni przekąsy Salezego D., ni pogarda areopagu mędrców, nie zdołały jej rzeczywistego blasku zaćmić, jej wysokiej piękności zapomnieniu oddać. Chlubimy się nią, ozdobą literatury naszej zowiemy. Kilka edycji w ciągu niewielu lat ogłoszonych, publiczność rozkupiła chętnie; ależ wartoby i o pamięci jej twórcy pomyśleć. Wznosi się wprawdzie nagrobek, staraniem przyjaciela a raczej wielbiela jego ustalonego talentu, dźwigniony (*); lecz ten pomnik nie odpowiada ni sławie Malczewskiego, ni naszej wdzięczności. Czyż nie należy o innym pomyśleć?... Sława wprawdzie wielkich ludzi może się obejść bez podobnych oznak uwielbienia; lecz są one powinnością serc, obowiązkiem wdzięczności. Pamiętajmy o tém!

(*) Nagrobek, o którym mówię, wznosił zaszczytnie w literaturze naszej znany, p. Hippolit Skimborowicz, główny redaktor Przeglądu Naukowego. Mito mi przy tej sposobności wspomnieć, że p. Sk. jest jednym z pierwszych po Michale Grabowskim pisarzy, którzy zwrócili uwagę publiczności na poemat Malczewskiego, i ocenili go sprawiedliwie.

Przyp. autora.

77486

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH

BIBLIOTEKA

<http://kcin.org.pl>



ul. Nowy Świat 72

tel. 22-62-63

F
7486